

Żadne triki. Szacunek, sympatia, autentyczność

O urokach i konsekwencjach bycia nauczycielem z pasją, rozmawiamy z Jarkiem Szulskim, absolwentem i nauczycielem warszawskiego liceum im. Stefana Batorego, a obecnie nauczycielem gimnazjum i liceum im. Tadeusza Reytana. W Values – Grupie Firm Doradczych kieruje zespołem projektowym studium podyplomowego Akademii Psychologii Przywództwa. Jest autorem powieści o szkole: „Zdarza się” i Sor, oraz „Siła spokoju, którego nie ma” (wspólnie z Jackiem Santorskim)

Pracujesz z młodzieżą w sposób, który nie jest powszechny. Chcemy porozmawiać z Tobą o byciu nauczycielem, wychowawcą. Jak to się stało, że zdecydowałeś się wykonywać ten zawód?

Mógłbym oczywiście mówić o tym, że miałem pasję do uczenia, ale tak nie było. Prawda jest przyziemna. W czasach licealnych miałem dość cotygodniowego imprezowania i picia win w bramach. Zresztą zarobiłem słuszną ocenę naganną za wagary. Wreszcie, po pewnych szalonych wakacjach, na które w życiu nie puściłbym własnych dzieci, pojechałem na zaproszenie dwóch koleżanek uczestniczyć w obozie harcerskim. Tam zobaczyłem, że ludzie mogą rozmawiać ze sobą o czymś ważnym, nie robiąc kompletnie nic nadzwyczajnego. Wtedy, po kilku dniach, po raz pierwszy usłyszałam od jakiegoś młodego człowieka (ja miałem wtedy 17 lat, on może 12), że jestem dla niego najważniejszą osobą na świecie. Pomyślałem wtedy, że może drzemie we mnie jakiś potencjał do pracy z trochę młodszymi ode mnie ludźmi. Nie zakładałem jednak, że będę nauczycielem. Do tego stopnia, że kończąc studia, nie robiłem kursu pedagogicznego i musiałem to później nadrabiać.

Rozpocząłeś pracę w swojej macierzystej szkole. Z czym się tam zetknąłeś jako młody nauczyciel?

Dla mnie szkoła to było dobre miejsce. Byłem nią zafascynowany, szczególnie w porównaniu ze światem korporacji, dorosłych, który wydawał mi się wyprany z ideałów i momentami smutny. Tutaj byłem w kontakcie z młodymi ludźmi, którzy mają jeszcze entuzjazm, błysk w oku, którym chce się coś robić. Było to dość naiwne, ale naprawdę tak myślałem. Doświadczyłem też zdziwienia, że moi nauczyciele, których nie lubiłem jako uczniów, okazywali się całkiem sympatycznymi, miłymi, mądrymi ludźmi. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie pokazywali tego na co dzień. Dlaczego ukrywali się za jakąś maską? Dlaczego tak bali się pokazać, kim są naprawdę. To było ciekawe doświadczenie.

Masz jakiś pomysł, dlaczego tak było?

Najprawdopodobniej ze strachu. Z czasem zdiagnozowałem, że jedną z największych bolączek szkoły jest to, o co mnie często pytają nauczyciele przy okazji różnych spotkań autorskich czy

konferencji, a mianowicie, jak zdobyć autorytet u młodych ludzi. Chęć posiadania autorytetu jest często powodem, dla którego nauczyciele udają kogoś, kim nie są. Poświęcają bardzo dużo energii na obronę swojego autorytetu. Tak robili też moi nauczyciele, oczywiście nie wszyscy, ale wielu. A przecież nauczyciel nie musi być dla ucznia autorytetem, wystarczy że będzie dla niego kimś ważnym.

Jak ta obrona autorytetu wygląda w praktyce?

Wiąże się to z przekonaniem, że nauczyciel nie może się pomylić, mieć złego dnia, że musi być nieskazitelny bo jeśli pokaże swoją słabość, swoje braki, to zginie. Jeśli się pomyliłem i dałem klasówkę nie z tego działu, to mogę się do tego przyznać i przeprosić, ale mogę również powiedzieć, że wiedza sprzed pół roku też obowiązuje, i trwać przy swoim. Ja już od jakiegoś czasu w ogóle nie zabiegam o autorytet i jest mi po prostu łatwiej uczyć. Nie muszę udawać kogoś, kim nie jestem. Jak się na czymś nie znam albo jakiś dział mnie nie interesuje, to o tym mówię. I naprawdę nic złego się nie dzieje.

To uwalniające odkrycie...

Zdecydowanie. Namawiam do takiego zdrowego „nieszacunku”, jak to nazywam. Nie mam np. nic przeciwko temu, by uczniowie powiedzieli mi, że lekcja była nudna, że coś się nie udało. Z punktu widzenia mojego rozwoju wolę się dowiedzieć, że coś poszło nie tak, bo wtedy mogę to zmienić. A czasami dostaję informację, że lekcja była super. Często słyszę zachwyty nauczycieli, że zrobili jakąś sesję naukową czy prezentację i uczniowie byli w to niezwykle zaangażowani. Tymczasem uczniowie mówią, że tak naprawdę przysypiali i byli tam tylko dlatego, by nie iść na inną lekcję. Wygląda to tak, jakby ludzie ze sobą nie rozmawiali.

Jak Tobie udało się w tę pułapkę nie wpaść?

Nie wiem, czy zawsze mi się udaje. Na pewno jest to kwestia własnej dojrzałości, bo nie było tak od razu. Jako młody nauczyciel chciałem być bardzo lubiany i w związku z tym wchodziłem czasem w rolę kaowca.

Co to oznacza?

Robiłem takie rzeczy, aby wszystkim oko zbieleło. Jestem teraz dojrzały, jeśli chodzi o sprawy wychowawcze, ale oczywiście nadal staram się organizować czas w szkole tak, by mi się nie nudziło.

By się nie nudziło Tobie czy uczniom?

Mnie. Wiem, powinienem być może być oddany i myśleć tylko o uczniach, ale ja naprawdę

nie chcę aby moja praca była nudna. A przy okazji dbam o to, by i uczniowie na tym skorzystali. Bycie nauczycielem pozwala na zrobienie różnych rzeczy, których dorosłe osoby same z siebie często by nie zrobiły. Mam na myśli wyjazdy do PGR-ów, do szkoły cyrkowej czy jakieś symboliczne spotkania dzień po powrocie z takich wycieczek np. na ostatnim piętrze warszawskiego drogiego hotelu. Myślę o spaniu w rowach, o gotowaniu z paniami z kół gospodyń wiejskich na Kaszubach.

Ja naprawdę nie chcę się po prostu nudzić w szkole. Dlatego nie pojedę kolejny raz śladami kościołów Wielkopolski... Kiedy jadę gdzieś na wycieczkę, to chcę czuć, że jestem podekscytowany, na równi z uczniami. Potrzebuję poczucia, że jedziemy coś razem robić, coś odkryć.

Mówisz często, że nie robisz czegoś dla uczniów, ale robisz to z uczniami... Co to dla ciebie oznacza?

W szkole jest bardzo mało przestrzeni, w której uczniowie są gospodarzami. Pamiętam wycieczki, które organizowali nam nauczyciele, podczas których biegali i szukali biletów, przystanków... My, jako loża szyderców, patrzyliśmy na to z zażenowaniem. Tak samo zachowywaliśmy się wobec przewodników wynajmowanych za pieniądze, których nikt nie słuchał... Jeśli natomiast uczniowie są gospodarzami, jeśli to uczeń rozmawia z kierowcą, gdzie jechać, jeśli to uczniowie, w miarę swoich możliwości, konstruują budżet i potem go realizują, wymyślają rzeczy, które wspólnie zrobią, a potem przejmują dowództwo nad klasą, to te negatywne zjawiska nie występują. Nie ma też wtedy zabawy w policjantów i złodziei, pilnowania uczniów, by chodzili spać, nie ma tych wszystkich atrakcji, których nauczyciele tak nie lubią. Oczywiście pojawiają się różne kryzysy. Od paru lat próbuję tworzyć w szkole jak najwięcej przestrzeni, w której młodzi ludzie mogą być gospodarzami, mieć na coś realny wpływ.

Wpływ i odpowiedzialność?

Daję im sporo wolności, a rewersem wolności jest odpowiedzialność. Mam teraz klasę wychowawczą, którą przejąłem w 2. klasie. Dla nich takim przełomowym wydarzeniem było to, że bez zapowiedzi przyszła jakaś firma, która robi zdjęcia klasowe. Wzięli ich z lekcji, zrobili zdjęcia, powiedzieli, że to kosztuje 15 zł od osoby i zaczęli zbierać pieniądze. Na tym zdjęciu nie było ani mnie, ani 7 osób z klasy. Zainicjowałem dyskusję, czy chcą mieć zdjęcie, na którym nie ma całej klasy. Przez 3 tygodnie się zastanawiali, debatowali. Wspólnie skonstruowali treść SMS-a do fotografa. Zapytali w nim, czy można zrobić zdjęcie jeszcze raz, bo bardzo im zależy, aby wszyscy z klasy się na nim znaleźli. Okazało się, że to nie był żaden problem, zdjęcie zostało zrobione jeszcze raz. Ci 14-latkowie pierwszy raz wyrazili swoje zdanie, powiedzieli, że coś im się nie podoba i czego by tak naprawdę chcieli. I odnieśli sukces. Mam nadzieję, że to w konsekwencji zachęciło ich do innych działań. Chociażby takich, że jak

jest problem z nauczycielem jakiegoś przedmiotu, to przestaną chodzić do niego rodzice, tylko pójdą uczniowie i powiedzą, co im się nie podoba, zaproponują coś w zamian, jais swój wkład w to aby było lepiej. Zaczną się komunikować i brać odpowiedzialność za swoją edukację. Przypomina mi się taka historia: kiedyś w klasie maturalnej, której byłem uczniem, przez kilka miesięcy nie było nauczycielki matematyki. Rodzice zaczęli się niepokoić, jak my sobie wyobrażamy zdanie egzaminu. Moja klasa zmobilizowała się i sama podjęła działania. Zależało nam jednak, aby dobrze zdać maturę. Utworzyliśmy fundusz, z którego można było finansować korepetycje. W parach osoby przygotowywały różne tematy, a potem prowadziliśmy sobie sami dla siebie zajęcia. To była dobra lekcja radzenia sobie w trudnej sytuacji.

Inny przykład to te często stosowane w szkołach 2 lub 3 możliwe nieprzygotowania. Mówię uczniom, że jak ktoś jest nieprzygotowany, to niech po prostu o tym powie. Chcę, aby czuli się traktowani poważnie. Każdy ma prawo się nie przygotować. Umawiamy się, że jeśli będzie to nadużywane, to się zastanowimy, co z tym zrobić. Chodzi o to, by dać z jednej strony wolność, a z drugiej zobaczyć, co oni z tą wolnością zrobią.

I co robią?

Okazuje się, że najczęściej nie nadużywają tego. Decyduję się na pracę nad takimi obszarami, w których widzę deficyt u moich uczniów. Tutaj nie ma recepty. Na tym polega też odpowiedzialność i wolność nauczyciela, że to on musi podjąć decyzję, jakim nauczycielem będzie, na jakie relacje sobie pozwoli z uczniami, jakich relacji będzie musiał ponieść konsekwencje. Jeśli mam dobre relacje z rodzicami, to może być taka sytuacja, że będą chcieli je wykorzystać do jakichś swoich pragmatycznych celów, związanych z ich dziećmi. Wtedy muszę umieć powiedzieć „nie”. To samo dotyczy uczniów. To, że skaczą mi na szyję w czasie przerwy, wcale nie oznacza, że nie jestem w stanie zapanować nad klasą i prowadzić lekcji. Wręcz przeciwnie, nie ma z tym dużych problemów. Każdy nauczyciel musi podjąć decyzję, kim jest i jakim chce być nauczycielem. No i czasem trzeba umieć powiedzieć „nie”. Ktoś mi kiedyś powiedział, że rozwijamy się najczęściej wtedy, kiedy ktoś nam mówi „nie”.

To, o czym mówisz, wymaga ogromnej samoświadomości, stałej refleksji nad tym, kim się jest, jakie są efekty naszych działań, w jakim kierunku podążamy.

Na pewno tak. Stała refleksja jest niezbędnym elementem tej pracy. Ale również otwartość, chęć uczenia się, eksperymentowania i autentyczność. Dzieci mają radary nastawione na wykrywanie hipokryzji i po prostu nam nie odpuszczają.

Mówiłeś o tym, że trzeba być przygotowanym na konsekwencje tego, co się robi. Czy

zdarzyło Ci się doświadczyć szczególnie bolesnych konsekwencji?

Myślę, że tak. Nie zawsze są to tylko moje konsekwencje. Na poziomie dydaktyki był to eksperyment nauczania bez ocen, który wprowadziłem w pierwszej swojej klasie w publicznej szkole nastawionej na oceny. Chciałem sprawdzić, co się stanie, co uczniowie z tym zrobią. Umówiliśmy się więc, że każdy w klasie ma piątkę na starcie. Będą oczywiście jakieś klasówki, odpowiedzi ustne. Ustaliliśmy, że szóstkę może mieć ten, kto będzie uważał, że zasłużył na tę ocenę, lub ten, kogo inni wskażą, że dzięki niemu najwięcej skorzystali z zajęć. Ta sytuacja pozwalała na to, że można było mieć bardzo dobrą ocenę, nie robiąc nic i na nią nie zasługując. Niektórzy zdecydowali się nie robić nic. Nie jest to zaskakujące, jeśli weźmiemy pod uwagę sytuację uczniów w naszych szkołach i ich obciążenie pracami domowymi. Jeśli można nic nie robić i mimo to mieć dobrą ocenę z jakiegoś przedmiotu, to wielu uczniów chętnie skorzysta z tej możliwości. Nie jestem w stanie określić, czy to jest porażka. To była bowiem dla tych uczniów lekcja uczciwości. Zamiast mieć poczucie, że zostali niesprawiedliwie ocenieni, mogli doświadczyć uczucia, że sami siebie niesprawiedliwie ocenili. Jakie w tej sytuacji znaczenie ma, czy otrzymało się piątkę czy szóstkę, jeśli jest to nieuczciwe i ma się moralnego kaca? Gdyby na to inaczej patrzeć, to można by uznać, że niczego w związku z tym nie nauczyłem, że nie udało mi się wywołać u nich refleksji na temat odpowiedzialności i w efekcie okazało się, że oceny były dla nich ważniejsze niż uczciwość wobec siebie, koleżanek, kolegów i nauczyciela...

Jak na takie alternatywne pomysły reagują inni nauczyciele?

Część też chciałaby działać podobnie, dla części jest to dziwaczne, jeszcze inni mogą uważać, że niczego nie uczę... Ratuje mnie to, że uczniowie osiągają najlepsze rezultaty (również te mierzalne, czyli wyniki egzaminów) i że rodzice nie protestują. Gdyby się okazało, że moi uczniowie osiągają gorsze wyniki, i to w szkole, która zajmuje wysokie miejsce w warszawskich rankingach, to pewnie byłoby trudniej. Z drugiej strony, koncentrowanie się wyłącznie na testach byłoby zwyczajnie nieuczciwe wobec tych młodych ludzi. Naszym zadaniem jest zrobić o wiele więcej, również to, co nie jest oceniane na egzaminach.

A jakie jest stanowisko rodziców?

Wydaje mi się, że jestem w stanie wyjaśnić im, dlaczego robię tak, jak robię. W każdym razie staram się to robić. Oczywiście, może się zdarzyć, że nie wszyscy będą zachwyceni. Być może część z nich wolałaby tradycyjny sposób pracy, czyli taki folwark szkolny, gdzie nauczyciel ma władzę i od czasu do czasu, jak ma dobry humor, może tę władzę odpuścić i na przykład przełożyć klasówkę. Mnie natomiast chodzi o coś zupełnie innego, o to, by ten folwark

zniszczyć w szkole, by budować autentyczne relacje, bo uczy się najlepiej od tych, których kochamy, a nie od tych, których się boimy. Dzisiaj już nie wiedza i formalny autorytet są najważniejsze w odgrywaniu roli nauczyciela. Nauczyciel przewodnik, towarzyszy, a czasem powiernik – to jest to, czego dziś młodzież najbardziej potrzebuje.

Czy czujesz, że w swojej pracy masz sojuszników w gronie pedagogicznym, że budujecie zespół? Czy każdy jest tam jednak samotny na swojej szkolnej wyspie?

Jest grupa osób, z którą mogę i chcę współdziałać. To są zwłaszcza nauczyciele, z którymi uczy się w jednej klasie czy też inni wychowawcy. Jednak brak pracy zespołowej jest na pewno bolączką polskiej szkoły, również mojej. Oznacza to, że nie potrafimy za bardzo robić tego, czego powinniśmy uczyć uczniów. Szkoła taka jak moja opiera się na bardzo dużej autonomii poszczególnych nauczycieli. Jest trochę ciekawych osobowości (dziwaków), którzy tworzą jej charakter, poprzez to, że są wyraziści, w związku z tym o nich się mówi, ich się pamięta, z ich lekcji coś się wynosi. Na poziomie wartości często się jednak różnimy, nie mamy zgody co do tego, jakiego człowieka chcemy kształtować, co naszego ma w nim pozostać po opuszczeniu murów szkoły. W zasadzie nie ma na ten temat rozmowy. Czasem można odnieść wrażenie, że wielu nauczycieli przychodzi do szkoły tylko po to, aby odbębnić swoją pracę i dostać za to pensję. Dyskusja na temat wartości byłaby więc trudna.

Jak postrzegasz rolę rodziców?

Z punktu widzenia nauczyciela i wychowawcy trudno mi sobie wyobrazić w tej chwili pracę z uczniami bez wsparcia ich rodziców. Pierwszym moim zadaniem, gdy rozpoczynam pracę z nową klasą, jest zdobycie zaufania rodziców.

Czemu to takie ważne?

Czemu? Przecież oddają mi pod opiekę swoje dzieci, swój największy skarb. No a taki nauczyciel może być dla rodziców, zwłaszcza w czasie gimnazjalnym, dużym wsparciem.

Często zarówno rodzice, jak i nauczyciele narzekają, że brakuje czasu na prawdziwą rozmowę, a może bardziej brakuje gotowości do takiej rozmowy, i to zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie. Jak to robisz, że rodzice chcą z Tobą rozmawiać? Jak zdobywasz to zaufanie i włączasz rodziców w życie swoich uczniów?

Nie wiem, czy wszyscy chcą. Ale efekt jest, przynajmniej na razie, taki, że cała machina klasowa idzie do przodu. Pamiętam takie spotkania z rodzicami, które dotyczyły ocen,

nieobecności lub miały formę przemówienia wychowawcy do rodziców. Teraz można te wszystkie informacje z łatwością przekazać drogą elektroniczną, mailową. Zebranie z rodzicami jest po to, aby porozmawiać o tym, co się dzieje, żeby wysłuchać rodziców. Dla mnie to szalenie ważne. Zdaję sobie sprawę, że rodzice mają różne poglądy, problemy. Powiedzmy, że rozmawiamy o kłopotach z matematyką, i oczywiście zawsze część rodziców będzie zadowolona z pracy danego nauczyciela, a część nie. Staram się doprowadzać do sytuacji, kiedy rozmawiają o tym ze sobą. Musimy pamiętać, że to, co robimy, jest częścią działań szkoły i wychowania. To, w jaki sposób my określimy, jak chcielibyśmy, aby było, jak się dogadujemy, też jest elementem tego procesu. Czasem siadamy wokół dużego stołu i rozmawiamy o sprawach ważnych.

Czyli rodzice nie siedzą w ławkach plecami do siebie, tylko przy jednym stole, widząc się wzajemnie, i jest czas na tę rozmowę?

Tak, staram się aby tak było. Pierwsze moje spotkanie trwało, o zgrozo, ponad dwie i pół godziny. A odzew był taki, że jedna z mam podeszła do mnie po zebraniu i powiedziała, że nigdy w życiu się tyle nie śmiała. W szkole zazwyczaj wszystko jest takie poważne, nadęte, że trzeba czasami spuścić trochę powietrza. To jest przecież część życia tych dzieci, wspaniały okres młodości. Co więcej, rodzice też powinni trochę odpuścić, bo te dzieci zaczynają sobie świetnie radzić same i mogą być z tego dumni, zamiast ich cały czas wyręczać.

Najczęściej daję się rodzicom wygadać, czasami daję do siebie kontakt telefoniczny i mailowy. Nie mam z tym problemu, choć wielu nauczycieli chyba się tego obawia. Do tej pory nie było to nadużywane. Zapraszam też rodziców do uczestniczenia w wydarzeniach, które organizujemy.

Nie po to, by pilnowali uczniów?

Nie. Chociaż zawsze mają jakieś role, by się nie nudzili. Celem obecności rodziców jest to, by zobaczyli, jak pracuję z dziećmi i jak dzieci pracują ze sobą. Dzięki temu mam wsparcie w postaci kolejnych rodziców, którzy mogą opowiedzieć innym, jak to wszystko działa, co się dzieje, jakie mają wrażenia.

Jesteście więc partnerami.

Staramy się. To nie jest łatwe. Rodzice mają różne wyobrażenia o dobrej szkole. Są też na różnych etapach własnego życia, w różnym wieku, mają różne wykształcenie, aspiracje. Współpraca i rozmowa, choć często wymagają wysiłku, są niezbędne.

A czego Twoim zdaniem najbardziej potrzebują uczniowie?

Przestrzeni w której mogą być gospodarzami, która przynosi tyle satysfakcji, dialogu, w którym czują się traktowani poważnie i wysłuchani, a także mają poczucie, że to, co myślą i mówią, ma dla dorosłych znaczenie. Potrzebują też zaangażowania. Obecnie dzieci nie mają w sobie przekonania, że aby coś osiągnąć, trzeba w to włożyć wysiłek. A ktoś im musi powiedzieć, że aby coś osiągnąć to trzeba zapierdalać, a i to nie daje gwarancji. Przykładowo, jeżeli będziesz przez rok grał przez pół godziny dziennie na gitarze, to po roku będziesz robił to dobrze. Dla tych dzieci jest to trudne do zrozumienia – one chciałyby, żeby wszystko było tu i teraz. Taka kultura „instant”.

I ma przychodzić łatwo.

No właśnie. Jesteśmy bombardowani zewsząd historiami, że jakimś ludziom się udało, rzucili wszystko i odnieśli spektakularny sukces. A rzadko mówi się o tym, że wielu się nie udało i że jest ich większość. Życie wymaga bowiem zaangażowania i determinacji. Sukces najczęściej jest poprzedzony ciężką pracą. I dotyczy to zarówno uczenia się, rozwijania swoich kompetencji i nabywania nowych, jak i tego, co jest świetną polisą ubezpieczeniową, czyli relacji z innymi. Moim uczniom brakuje autentycznego kontaktu ze sobą, przestrzeni, w której mogą po prostu spędzać czas wspólnie.

Szkoła nie daje tej przestrzeni? Są tak zagonieni, pędzą z lekcji na lekcję, że nie mają czasu?

Z jednej strony nie mają czasu, bo weekendy też mają pozajmowane kursami, zajęciami dodatkowymi. Z drugiej strony, chodzi o jakość tego, co się dzieje, kiedy już są ze sobą. Ostatnio uczestniczyłem w nocy filmowej, którą zorganizowali pierwszoklasiści. Stwierdzili, że nie bardzo mają kiedy się spotkać i postanowili, że spędzą ze sobą noc, oglądając filmy. I pomimo że nie chcę demonizować nowych technologii, to muszę stwierdzić, że połowa siedziała cały czas z nosami w komórkach. Na moje spostrzeżenie: „Od 3 godzin gapisz się w komórkę. Pytanie, co tam widzisz?” uczeń podnosi wzrok i mówi: „Tam jest życie, panie profesorze”, a potem wraca do tego, co robił. A przecież potrzeby relacji się nie zmieniły.

Jestem pełen wiary w tych młodych ludzi. Moi uczniowie po wysłuchaniu tej historii podjęli decyzję, że na wycieczkę nie biorą telefonów. Widzę zwrot ku wartościom wśród młodych ludzi. To bardzo optymistyczne, choć czasami trudne dla dorosłych.

Czemu trudne?

Dlatego, że ci młodzi ludzie nie chcą żyć tak, jak ich rodzice. Nie chcą zdobywać coraz większych pieniędzy, wspinać się po ścieżkach kariery, pracować tak ciężko. Myślą bardziej o jakości życia. Ich rodzice budowali drogi czy biurowce, oni natomiast zastanawiają się, czy chcą w takim biurowcu pracować. I że być może warto pracować mniej, a mieć więcej czasu dla siebie. To się zbiega z tym, że ci millenialsi za chwilę przejmą władzę od osób z pokolenia powojennego. Zbiega się to również z wielkimi pytaniami: o granice wzrostu gospodarczego, Pracujemy najwięcej w Europie, a jednocześnie jesteśmy jedną z najmniej efektywnych nacji. To, co wytwarzamy, nie ma dużej wartości.

Jeśli chcemy być kreatywni, innowacyjni, to szkoła powinna temu sprzyjać. Powinna kształtować odpowiednie kompetencje. Jakie, Twoim zdaniem?

Nie są to na pewno te, które możemy określić, jako 3 x P, czyli posłuszeństwo, powtarzanie i punktualność. We współczesnej gospodarce potrzebne są osoby, które mają otwarty umysł, umiejętność pracy z ludźmi, wykorzystywania nowych, rzadkich zdarzeń, intuicji. Naprawdę trudno być kreatywnym, jeśli się siedzi od 8 do 16 w szkole, a potem do 22 nad pracami domowymi, a jako dorosła osoba – kilkanaście godzin w korporacji.

Nie zadajesz prac domowych?

Zadaję, ale takie, na które się umawiamy, że chcemy je robić. One są często wymagające, ale jeśli są ciekawe i mają sens, to uczniowie chcą je wykonywać. W mojej pracy wszystko sprowadza się do dialogu. Nie mam problemu z mówieniem, że coś mi się podoba albo nie podoba. Jak już polubię swoich uczniów, to mam takie nastawienie, że każda konfrontacja jest też inwestycją w nasze relacje. Jesteśmy przypadkową grupą ludzi, trzeba próbować się jakoś dogadać. I to jest wartość.

Czy łatwo jest zdobyć zaufanie tych młodych ludzi, mających tak różne edukacyjne doświadczenia?

Nie jest łatwo, to trochę trwa. Kluczowa jest autentyczność i to, by czuli, że nauczyciel się naprawdę nimi interesuje. W szkole często brakuje jednak czasu na okazanie tego. Ja piszę do nich listy, w których mówię, o co mi chodzi, co mi się podoba, za co dziękuję. Eksperymentujemy. Wprowadziliśmy w klasie rytuał dziękowania sobie nawzajem. Była obawa, że to będzie bardzo sztuczne, ale jednak te dzieci co tydzień mówią sobie coś ważnego. To tworzy powoli jakiś klimat.

Próbuję sobie wyobrazić Ciebie w szkole. Przychodzisz do szkoły, prowadzisz lekcję geografii, masz godzinę wychowawczą, organizujecie wyjazdy, wyjścia, czasami jest noc filmowa, jest czas na rozmowę. Listy piszesz w domu. Jak na to znaleźć czas? Nauczyciele często mówią, że chętnie by to wszystko robili, ale mają zbyt wiele klas. Zdarza się, że nawet nie pamiętają, kto jest ich uczniem.

Rozumiem takich nauczycieli. Jeśli mają z jakąś klasą godzinę zajęć tygodniowo, a tych klas może być 15, to jest to oczywiście trudne. Tylko że tu nawet nie chodzi o ilość czasu, ale przede wszystkim o jakość kontaktu. Można, kiedy idzie się korytarzem, na chwilę się zatrzymać i powiedzieć jedno zdanie, spojrzeć w oczy, podać rękę i przytrzymać ją o sekundę dłużej...

Zauważyć...

Często nie doceniamy, jak ważne jest być zauważonym. Moi uczniowie bardzo dobrze reagowali, gdy przy klasówce pisałem każdemu uczniowi jedno osobiste zdanie osadzone w kontekście wcześniejszej rozmowy. To świadczyło, że pamiętam o tym, że ktoś o coś pytał, na coś zwrócił uwagę.

Ostatnio nasza pani dyrektor zauważyła na to, że moi uczniowie są dumni, kiedy zatrzymuję się na korytarzu i z nimi rozmawiam. Odpowiedziałem, że chyba każdy tak robi. I wtedy usłyszałem, że prawdopodobnie nikt oprócz mnie w tej szkole tak nie robi. Wydało mi się to zaskakujące. Mamy pretensję do dzieci, że nie mówią „dzień dobry”, a przecież to jest takie naturalne – zauważyć, że ktoś jest smutny, uśmiechnięty albo zmienił fryzurę, i zareagować na to.

Co jest dla Ciebie najtrudniejsze w byciu nauczycielem?

Na pewno ocenianie. Mam nadzieję, że zostaną wymyślone sposoby, które sprawią, że nie będzie już ono konieczne. Każda ocena wydaje mi się nieadekwatna, dlatego stosuję samoocenianie. Ma ono oczywiście różne wady, ale zwalnia mnie z odpowiedzialności.

Do tych rzeczy najtrudniejszych w nauczaniu dodałbym jeszcze sprawy finansowe. To jest bardzo angażująca, trudna praca i powinna być godnie opłacana. Dlatego sam zdecydowałem się zarabiać poza szkołą.

Czy zdarzały Ci się momenty kryzysu, wątplenia, kiedy zastanawiałeś się, czy szkoła to miejsce dla Ciebie?

Zdarzają mi się one często. Czasami czuję się zbyt nasycony relacjami z młodymi ludźmi. To wynika też z faktu, że bardzo długo utrzymuję znajomość z moimi byłymi uczniami. Te kontakty są intensywne i liczne. Próbuję utrzymać również balans między światem dorosłych a światem młodych ludzi. Przeżyłem już sytuację, kiedy szkoła wypełniła prawie całą przestrzeń mojego życia, w związku z czym po kilku latach prowadzenia, a raczej nieprowadzenia firmy zostałem bez środków do życia. To była lekcja, z której wyniosłem doświadczenie. Staram się teraz to wypośrodkować. Wystarczy, że od czasu do czasu, na tyle, na ile mogę, znajdę chwilę, weekend, parę dni dla moich uczniów po to, by być naprawdę z nimi.

Co najbardziej Cię motywuje, żeby dalej być nauczycielem?

To, że się pracuje z ludźmi, którzy naprawdę jeszcze w coś wierzą i fajnie jest to pielęgnować. Ważna jest również świadomość, że ja jestem częścią ich świata, a oni mojego. Mam też perspektywę pracy z moimi dorosłymi uczniami. Dajemy sobie dużo troski – to jest świat, w którym chcę żyć. I to jest ten aspekt, o którym rzadko się mówi, a mianowicie to, że potrzebujemy, szczególnie w Polsce, skoku cywilizacyjnego w codzienności. Czyli tego, żeby było coraz mniej cwaniaków, którzy jeżdżą buspasem i wydaje im się, że są tacy świetni. Potrzeba, żeby ludzie byli dla siebie uprzejmi, mili, na poziomie życia codziennego, chociażby po to, żebyśmy lubili ten kraj. I to jest patriotyzm, a nie ciągle przywoływanie, nielicznych zresztą, sukcesów militarnych, stawianie pomników... Żeby ludzie potrafili ze sobą rozmawiać, nie obgadywali się za plecami, żeby czuło się, że nasze państwo jest po to, aby ułatwiać nam życie, a nie utrudniać. Potrzebujemy dojrzałości, odpowiedzialności, umiejętności funkcjonowania w przestrzeni publicznej, społecznej, i to są zadania szkoły. To jest niezbędne, a nie reforma strukturalna, bo ona nic nie da.

Jak Twoim zdaniem będzie wyglądała edukacja za 20 lat? Czy jest możliwe, aby to przewidzieć?

Chyba nie jest możliwe. To trochę tak, jak obiecywanie, że to co robimy w szkole się komuś do czegoś przyda, i że odrabianie prac domowych przysporzy jakiś większych kompetencji. Mogę wyrazić tylko nadzieję, w jakim kierunku chciałbym aby edukacja podążała. Marzyłbym sobie, aby edukacja była różnorodna, bo o ile nie wydarzy się nic takiego spektakularnego na świecie, to będziemy mieli pewnie pogłębiające się różnice pokoleniowe. Nie będzie jakiegoś wyznacznika dla jednego pokolenia, będą za to różni ludzie. Młodzież nie będzie miała jakiś wspólnych wartości, rodzice być może też nie będą mieli wspólnych wartości. Dlatego ważne będzie, żeby można było wybrać szkołę jaką się chce, żeby dyrektorzy tych szkół mogli brać odpowiedzialność za to, w jaki sposób tę szkołę budują, żeby było więcej odpowiedzialności, takiej motywacji wewnętrznej w szkole, czyli to, co w niektórych szkołach się dzieje, a to, co też

u nas próbujemy robić w takim mikro zakresie, że np. uczeń sam sobie wyznacza cele, obszary, w których będzie działał np. na 120 procent. To są obszary szkolne, ale ważne są też pozaszkolne, w uczestniczeniu w których szkoła będzie wspierała. Mam nadzieję, że ten wysiłek reformatorski pójdzie w taką stronę, że nadal w 90%, albo więcej procent tego, co się dzieje w szkole będzie zależało od nauczyciela, a nie od tego, czy ma tablice multimedialne, czy uczy w pięknym, wyremontowanym budynku. Wszystkie udane reformy na świecie zaczęły się od nauczycieli. Wtedy można się uczyć w obskurnej sali, bez technologii i to może być bardzo dobra szkoła. Podejrzewam jednak że z czasem odejdziemy od nauczania przedmiotowego, co będzie wymagało zupełnie nowych kompetencji u nauczycieli.

No właśnie, jakich nauczycieli będziemy potrzebować w przyszłości?

Nie będzie to już mędrzec na scenie, a raczej przewodnik w terenie. Świat bardzo się specjalizuje. Mamy przy tym dostęp do bardzo dobrej jakości źródeł wiedzy. Moi gimnazjaliści robią już kursy uniwersyteckie na światowych otwartych platformach, gdzie dostają dyplomy np. z Harvardu czy ze Stanfordu. Trudno wymagać w takiej sytuacji od nauczyciela, żeby w zakresie zainteresowań uczniów, coraz węższym, mógł zawsze odgrywać rolę autorytetu. Natomiast szacunek, sympatia, autentyczność cały czas działają – to nie jest żadna nowość. Trików proponuję unikać. Kto chciałby być manipulowany?

Czyli chodzi bardziej o towarzyszenie uczniom?

O towarzyszenie, wspólne konstruowanie wiedzy. Największą rolę odgrywają nauczyciele, którzy zajmują się propedeutyką wiedzy. Najmłodszych powinni więc uczyć najlepsi. Czas gimnazjum i liceum jest czasem rozwoju osobowości, która pozwoli ludziom w tym zmieniającym się świecie zdobywać to, co sobie zaplanowali.

Skąd takich nauczycieli brać?

Może trzeba zapytać, jakie warunki trzeba stworzyć, aby chcieli przyjść do szkoły. Piętrzenie trudności, w postaci wielopoziomowych studiów, dodatkowych egzaminów, spowoduje, że jeszcze więcej osób, które mogłyby uczyć w szkole i robić to naprawdę dobrze, do tego zawodu nie przyjdzie. Mówię też o sobie. To jest moja świadoma decyzja, że nie pracuję na etacie w szkole, tylko chcę mieć kontakt ze światem zewnętrznym, z jednej strony z powodów finansowych, z drugiej z emocjonalno-poznawczych. Mam poczucie, że łączenie różnych światów wzbogaca. Dzięki temu widzę, co się dzieje na świecie, jestem też przykładem (także wychowawczym) tego, jak różne mogą być nasze życiowe scenariusze, i że można tak poukładać swoje zawodowe życie, aby znaleźć w nim miejsce i na pasję i na zarabianie pieniędzy.